

Czerwcowe (re)sentymenty

29 czerwca 2009



4 czerwca 1989

to symbol wielkiej zmiany czy zakamuflowanej formy kontynuacji?

Z tamtych czasów pamiętam wiszące w Poznaniu plakaty z Tadeuszem Mazowieckim. I zmęczenie Rodziców ogólnym brakiem wszystkiego, oprócz nadziei na zmianę. Jako dwunastolatek odbywałem wtedy przyspieszony kurs zainteresowania polityką. Ukazujący się wówczas „Świat Młodych” zaczynałem nie od lektury komiksów na ostatniej stronie, lecz od opisów „okrągłego stołu”, na poły propagandowych agitek opisujących jak ładnie i z kulturą oraz w poczuciu odpowiedzialności za kraj dogaduje się władza z opozycją. Także dla mnie, młodego Polaka, w imię lepszej przyszłości. Nie miałem zielonego pojęcia o „zdradzie w Magdalence”, „koncesjonowanej opozycji”, nie miałem pojęcia, że wszystkie te wydarzenia poddane zostaną krytycznemu osądowi. Nie wiem, czy spotkałem się wtedy z hasłem „Gwiazda miałeś rację”. Mój Ojciec radosny szczebiot Joanny Szczepkowskiej, że w Polsce właśnie skończył się komunizm skwitował z sarkazmem, że komunizm w Polsce skończył

się w 1956 roku i że właściwie na szczęście nigdy go tu nie było.

Wszystko zmieniało się szybko. W mojej rodzinnej szkole nauczyciele masowo przepisywali się z ZNP do nauczycielskiej „Solidarności”. Znarowiła się tylko moja Matka, zresztą bezpartyjna i jak niemal każdy pro-solidarnościowa, stwierdzając gorzko w domu, że dla lepszych paczek nie będzie się wygłupiać. W rocznicę odzyskania niepodległości na szkolnej gazetce ściennej, oczywiście za zgodą dyrektora, partyjnego aktywisty, który następnie z PZPR przepisał się do PSL, zawiesiła tekst „Pierwszej Brygady”. Zresztą później dyrektor został wójtem, a szkołę, którą wcześniej kierował, zamknął, tłumacząc to koniecznością dopięcia budżetu gminnego. Wielka zmiana na prowincji dokonywała się po cichu, bez fajerwerków.

Polityczne emocje były na dalszym planie, skoro większość czasu i tak trzeba było poświęcać na zmaganiach z realiami gospodarczymi. Owszem, żyło się radośniej i weselej, bo najpierw węższym, później szerszym strumyczkiem napływały dobrodziejstwa zachodniego dolce vita. Dochodziło do takich absurdów, że w GS-ie bez problemu można było kupić Hubę-Bubę, gumę w kształcie papierosów, napój coca-colo-podobny w puszkach, ale chleb wciąż był na zapisy, a masło podejrzenie śmierdziało farbą malarską. W 1991 roku dostałem pierwszy paszport z pieczętką „na wsje strony mira”.

Skąd ten mało interesujący dla osób postronnych opis? Zastanawia, na ile Polacy w owym czasie przeżywali wielką zmianę w podobny, nieco dziecinny, a z pewnością prozaiczny sposób. Dla wielu Polaków zmiana nie była wydarzeniem heroicznym, pełnym patosu, ale czymś nader przyziemnym, z konieczną dawką konformizmu, egzystencjalnego banału, z postaciami nie do końca kryształowymi i nie do końca ześwinionymi. W tamtym czasie nie było takie oczywiste, kto gdzie stoi, podział na my/oni w realiach „zwykłej Polski” nie był wcale taki przejrzysty i oczywisty. Rzeczywistość

przypominała raczej kopnięte butem mrowisko, w którym każdy, zdeorientowany, targa w swoją stronę słomkę żywota, a co z tego będzie: kto mógł wiedzieć? Nie każdy SB-ek został milionerem, nie każdy solidarnościowiec gołodupcem, choć faktem jest, że ci, co wiedzieli więcej, mogli też więcej. W tym sensie beneficjentami transformacji potencjalnie musieli zostać lepiej poinformowani, ci z lepszymi koneksjami, którzy lepiej się wkomponowali w polityczno-ekonomiczno-towarzyski misz-masz owych czasów. Dlatego Wałęsa ma dziś swój Instytut a Anna Walentynowicz żyje skromnie i zupełnie na uboczu. Dlatego Jerzy Urban jest dziś pełną gębą burżua, a wielu budowniczych Nowej Huty, sentymentalnie i biograficznie związanych z PRL, bynajmniej nie opływa w dostatki. Ba, zdecydowanie lepiej od wielu z nich mają się dziś Mieczysław Gil czy Stanisław Handzlik z pierwszej „Solidarności” ówczesnej Huty im. Lenina, co rzecz jasna można traktować jako objawienie się tzw. sprawiedliwości dziejowej, które to pojęcie, jak wiemy, zaczerpnięto z arsenału terminologicznego marksistów.

Stąd też, obserwując dziś spory o wydarzenia około-czerwcowe i ich konsekwencje ma się wrażenie, że w znacznej mierze debatują spóźnieni prorocy, prorocy po fakcie. Wynika z tego pewnego rodzaju iluzoryczność wszystkich tych fet i potępieńczych swarów, ich zmistyfikowanie na potrzeby (anty)mitu założycielskiego. Zresztą na tym polega dwuznaczna potęga (anty)mitów, że to, co jest tylko perspektywą, przedstawiają jako żelazne fakty. 4 czerwca dla większości Polaków był tylko preludium zmian, albo jednym z wielu wydarzeń w ciągu zachodzących przemian, gdy w rzeczywistości faktycznym (anty)świętem powinien być np. dzień, w którym zadekretowano lub zaczęto wcielać w życie reformy Balcerowicza, bo to one w większym stopniu niż wydarzenia stricte polityczne przesądziły o późniejszych losach obywateli naszego państwa, nierzadko o ich „być albo nie być”. I o tym, jak być, czyli, bardzo często, ile mieć. Ile mieć dla siebie z tamtych dni i lat. A komu i jak wychodzi bilans, to już chyba temat na osobną historię...

Autor: Krzysztof Wołodźko

Zdjęcie: Flickr

Źródło: [Obywatel](#)